

i wątróbki, dwa bochenki chleba, krążek duży sera i kilkanaście butelek w koszyku.

Rozpoczęła się uczta, trwająca do późnej nocy. Kiedy po kilkugodzinnym wypoczynku przebudzili się, dzień już był szary. Noc ta, spędzona pod gołym niebem, nie wywarła żadnych skutków na apaszu i jego małym towarzyszu. Barykadzie wydała się wspaniała, po twardej pryczy w dusznym i ciasnym więzieniu. Ale Delrue nad ranem czuł się bardzo nieszczęśliwy i przybity. Wstał z wilgotnej ziemi, wyciągając przemarznięte i zeszywniałe członki, krzywiąc się przytem niemiłosiernie. Lecz po wypiciu ostatniej butelki wina, zaraz się uczuł silniejszym. Z uczuciem silnego zadowolenia przypomniał sobie, że dzień ten przyniesie mu uspokojenie niemałe.

— Idźmy do miasta — zaproponował Barykada — i weźmy omnibus do Paryża.

Gdy doszli do stacyi, Barykada i Totor wygramolili się na imperiał, zapraszając Andrzeja Delrue. Tenże choćby był wolął umieścić się w środku i odpocząć trochę po trudach nieprzespanej nocy, musiał pójść za ich wolą.

— Znajduję się w ładnym towarzystwie — myślał Delrue, dygocząc z zimna w cienkiej swojej zarzutce letniej. — Ja, Andrzej Delrue, finansista i człowiek zaufania markiza de Kermor.

Zgrzytał ze złości zębami, pocieszając się myślą, że wszystko to skończy się już prędko i na zawsze pożegna niemiłe mu towarzystwo apaszków.

Wysiedli pod Luvrem i stąd pieszo udali się na plac Giedy.

Totor, który rzeczywiście bardzo podejrzenie wyglądał w swoim połatanym ubraniu i wystrzępionych butach, został uproszony przez Andrzeja Delrue, aby towarzyszył im w przyzwoitej odległości, niosąc pod pachą niebieską bluzę Barykady. Tenże zaś, w ubraniu swoim w kraty i sztywnym kapeluszu miał wygląd dosyć przyzwoity i mógł uchodzić za porządnego robotnika lub mniejszego kupca idącego za interesami do miasta. Mógł więc od biedy towarzyszyć Andrzejowi Delrue aż do okienka kasowego, nie zwracając na siebie uwagi.

Kiedy weszli do kantoru, Totor pozostał przed drzwiami, śledząc bystrem okiem przechodniów. Sprawa Delrue załatwioną została szybko i dobrze. Bogaczowi takiemu, jakim już on był, kasyer nie może odmówić zaawansowania tak drobnej sumy, jak kwota dziesięciu tysięcy franków. Delrue podpisał podsunięty mu kwit i zgarnął pieniądze. Lecz już olbrzymia ręka apasza położyła się na nich pewnym i stanowczym ruchem.

Delrue zbladł, lecz nie śmiał oponować.

— Oto wszystko, co się panu należy od pana Smitha? — zapytał na pozór spokojnym głosem.

— Ni mniej, ni więcej — odparł Barykada, ładując szybko banknoty do kieszeni surduta.

— A więc załatwiliśmy już sprawę?

— Tak, dziękuję panu.

Wyszli razem. Delrue był bardzo niezadowolony, iż w kantorze patrzone na tę scenę i komentowano już może jego znajomość z kolosem, Barykadą zaś był taki wesół i uradowany, iż z przyjemnością byłby popełnił jeszcze jedną zbrodnię, aby zasłużyć sobie na tak sowitą nagrodę.

— To było zrobione dla pana Smitha — rzekł, kiedy znaleźli się na ulicy — trzeba o tem pamiętać na przyszłość, Barykado.

— Tak, pamiętam — odparł tamten dobronnie — dla pana Smitha, a ja jestem tylko jego zastępcą.

— Nie możesz na niego narzekać, prawda?

— Wcale nie! Porządny człowiek.

— I pewny.

— Polecam się jego łaskawej pamięci — zaśmiał się apasz. A teraz już cię puszcze od siebie, kochanku. Zasłużyłeś sobie na trochę wolności.

— A ty Barykado idź do swojej roboty. Nie prędko znajdziesz takiego, co ci wypłaci z góry.

— Wiadomo. Bywaj zdrów stary.

Delrue uściśnął rękę apasza i z westchnieniem ulgi udał się do swojego mieszkania.

— — — — —
Interesa markiza de Kermor szły świetnie; w przeciągu kilku dni, suma, którą operował na giełdzie, podwoiła się znacznie, a że grał otwarcie, przypuszczano ogólnie, że popierany jest przez barona de Bressien i wielu jego znajomych poszło za jego przykładem. Tylko tak samo markiz, jak i inni nie przypuszczali ani na chwilę grając, że gra ta pociągnie ich do ruiny. To, co bankier de Bressien kombinował i wywoływał od szeregu miesięcy i lat, teraz nagle urzeczywistniało się ku szalonej jego radości. Delrue zaś, który interesami tymi tak umiejętnie pokierował, rósł co dzień w łaskach u markiza i stawał się mu z dniem każdym potrzebniejszym.

Z prawdziwym więc żalem markiz przyjął prośbę swojego plenipotenty, pragnącego jak mówił uwolnić się na dni kilka, aby móżdż pokonferować ze współnikiem swoim, panem Smithem z Londynu. W gruncie rzeczy zaś Delrue zamierzał w dniach tych na zawsze Paryż opuścić.

— Rozumiem dobrze, mój młody przyjacielu — odpowiedział markiz życzliwie — że chcesz się uwolnić od podrzędnego stanowiska jakie zajmujesz u mnie, przykro mi jednak, że będę cię zmuszony stracić. Sądzę jednak, że pozostaniemy zawsze w stosunkach ze sobą, gdyż pragnę być pierwszym klientem założonego przez ciebie banku.

— Zaszczyt to niemały dla mnie — odparł uśmiechając się Delrue — Pan markiz zanadto łaskawy, naprawdę.

— Dosyć, dosyć, mój drogi. A gdzież to myślisz bank twój założyć? W jakiej dzielnicy?

— Oczywiście tylko na placu Giedy.

— Doskonale! Wiesz co ci doradzę, umieść się naprzeciw pałacu Giedy, to będzie najlepiej. Ale, prawda, przypominam sobie w tej chwili, że widziałem w rachunkach twoich, panie Delrue, czek na pięćset sto tysięcy franków i jestem tem odkryciem nadzwyczajnie zdziwiony.

— To ten czek, który podjąłem na mój podpis, mając rozliczne rachunki do załatwienia w czasie nieobecności pana markiza. Mogę się wykazać...

— Ale co znowu, mój kochany. Chcesz wiedzieć, dlaczego cię o to pytałem? Dlatego, aby ci czek ten podarować.

Delrue nie posiadał się z radości. Pochwycił rękę markiza i uściśnął ją serdecznie.

— Ah! panie markizie! doprawdy nie wiem, jak okazać moją wdzięczność. Nie spodziewałem się nigdy tego!

— Mogłeś się spodziewać, mój Delrue. Rady twoje dane mi w sprawie akcji kopalnianych, warte są o wiele więcej i nie zapomnę o nich w przyszłości. Ta drobnostka, to na twoje urządzenie, na ozłocenie liter napisu, który figurować będzie na twoim banku. „Andrzej Delrue“ bankier. Prawda jak to będzie ładnie wyglądać.

Andrzej Delrue uśmiechnął się z zadowoleniem. On napis ten widział teraz w dzień i w nocy przed swojemi oczami.

— Ale teraz dosyć o tych poważnych rzeczach — przemówił markiz de Kermor po chwili. — Jak stoi sprawa z Janiną le Brenn?

— I z tej strony udało mi się dosyć szczęśliwie — odpowiedział swobodnie Delrue.

— Widziałeś ją pan?

— Widziałem i wyprawiłem.

— Och! czy być może! Argumenta pańskie musiały być dosyć silne, skoro ją tak prędko przekonać zdołały.

— Nie bardzo. Była w mocy policyi i zrozumiała łatwo, że najlepiej uczyni, wydając się z Paryża.

— Była w mocy policyi?

— Tak. Siedziała nawet w więzieniu przez wzgląd na jej prowadzenie się zanadto rozgłośne.

— To dziwne! Dziewczyna taka cicha i pracowita.

— Umiała się maskować!

— Ależ to była prostota sama!

— Wszyscy sądzili w ten sam sposób i ulegli jej komedii... Markiza, hrabia Henryk... A teraz znajduje się na razie w Roche Kermor, gdzie będzie mieć dosyć czasu do rozmyślenia nad sobą.

— Z czegoż tam żyć będzie?

— Wręczyłem jej sakiewkę z oszczędnościami. Ośłodzi jej chwile przymusowej samotności, a może stanie się łupem jakiego podejrzanego Don Juana, z którym zapragnie się pocieszyć.

Markiz bacznie spojrzał na mówiącego z poza złotych binokli. Wyraz niesmaku i niechęci osiadł na jego twarzy.

— Zdaje mi się, że przesadzasz pan, panie Delrue. Ona nie mogła upaść do tego stopnia!

— Jest gorzej, niż pan markiz przypuszczać jest w stanie. To natura do gruntu zepsuta i fałszywa.

— Zdziwiałeś! W jej życie musiał się wnieść jakiś nędznik, który w ten sposób wpływa na nią.

— Albo też kilku — podkreślił Delrue niewzruszony z akcentem wścieklej nienawiści i pogardy.

Na drugi dzień opuścił on pałac markiza de Kermor i przeniósł się tymczasem do jednego z większych hoteli, mieszczących się na bulwarze.

— Koniec już upokorzeniom moim — mówił do siebie z radością. — Droga otwarta przedemną i żyć mogę nadal wedle upodobania. Pozbyłem się szczęśliwie apaszków, Janiny le Brenn i wolny jestem, jak ptak. Nie mam już żadnego pana nad sobą, ani współnika, ani przyjaciół. Sam sobie zupełnie wystarczę. Baron de Bressien nie przypuszcza ani na chwilę, kto będzie jego następcą.

Stan zdrowia bankiera był ciągle jeszcze nie bardzo pomyślny. Siły jego zanikały z dniem każdym, pomimo gorących starań Sydonii i lekarzy. Zył, a właściwie wegetował, w półmroku wszelkich władz umysłowych, pogrążony w zupełnej apatii i bezczynności ciała i duszy. Człowiek ten o niegdyś genialnej energii i umyśle żywym, stał się obecnie istotą bezwładną, niezdolną do jednej jaśniejszej myśli i rozumowania.

Sydonię stan ojca wprowadzał w rozpacz bezgraniczną. Ojciec jej, który potrafił przewidzieć w życiu wszystko, cokolwiek mu grozić mogło, oddał dotąd skutecznie wszelkie groźby i niebezpieczeństwa, nie przewidział tylko tej ostateczności, jaka na niego spadła i stał się wobec niej bezradny, jak małe dziecko. Przypominała sobie, jak mówił jej niegdyś, iż w razie jakiego nieszczęścia lub pożaru powinna starać się tylko uratować zawartość ogniotrwałej kasy. Lecz z chwilą, z którą ojciec jej pozostawał na miejscu w ciągłej styczności ze swoimi klientami, rady tej skutecznie nie mogła. Trzeba było czekać na łaskawszą chwilę, a tymczasem groziła ostateczna katastrofa. Klienci na wieść o chorobie bankiera zjawili się wszyscy w jego pałacu. Prasa rozpisywała się szeroko o nieszczęściu, spadłem na barona de Bressien i wszyscy oczekiwali gorączkowo rozwiązania całej kwestyi.

Pośród swoich klientów i sprzymierzeńców bankier miał kilka osób, które wierzyły w niego, ale cóż, kiedy dzisiaj de Bressien, złożony ciężką niemocą, tracił wszelką wartość w ich oczach. Niezdecydowani i przerażeni, klienci ci wycyfowali spiesznie swoje kapitały, lekając się o ich utratę.

Naczelnny dyrektor banku wydał rozkaz wypłacenia wszelkich wkładek i sum złożonych w banku, ale przy tej czynności przekonał się prędko, że kasa była prawie pusta. Zwrócił się więc natychmiast do panny Sydonii. Bankierówna odpowiedziała, że należało trwać na stanowisku wszelkimi siłami, dopóki ojciec zdrowia nie odzyska. Pewnego dnia zrewidowała sumiennie kasę ogniotrwałą. Znalazła w niej czeki, akcje państw różnych i pewną sumę pieniężną. Wszystko to umożliwiał ucieczkę z kraju w razie nieszczęścia i było jedyną wielką rezerwą, na którą w danej chwili oboje z ojcem liczyć mogli.

Gdyby de Bressien był w pełni swoich władz umysłowych, byłby rozkazał córce swojej zabrać te wszystkie wartościowe papiery i czempredzej uciekać gdziekolwiek bądź za granicę, lecz niestety dalekim był od tego wszystkiego, co działo się w jego domu.

Panna Sydonia więc wypróżniła całą kasę, oddała akcje i papiery, mówiąc do dyrektora banku:

— Proszę to wszystko zrealizować, choćby ze stratą, lecz nie ośmielaj się pan zawieszać wypłaty!

Na szczęście pomiędzy papierami znalazły się akcje kopalń złota, które w lot rozchwytywane zostały. A syndykat markiza de Kermor skupywał je ciągle.

— Tem lepiej — myślała z nienawiścią panna Sydonia, którą o tem nabyciu poinformował dyrektor. — Tem lepiej! Niech kupuje wszystko i on i jego przyjaciele i ten nędznik Delrue. Sami nie wiedzą, jak szybkimi krokami biegną ku ruinie zupełnej!

Panna Sydonia myliła się jednak. Stumilionowy jej posag przechodził z bulwaru Hausmanna do pałacyku przy ulicy de Beotie bez żadnej nadziei powrotu. Niewiadomem było tylko, czy rozgorączkowany i pragnący zaciętej walki markiz de Kermor doprowadzi plan swój do ostatka, nie obliczając skutków, czy też w samą porę potrafi się w polowie drogi zatrzymać.

Great Allan.

Henryk de Kermor tymczasem na parowcu Cap-Hamburg podązał do Afryki, będącej teraz jedynym celem jego i zbawieniem. Przyjaciel jego de Sannuville dumny się czuł, że potrafił go namówić do tej niespodziewanej podróży, lecz Allan, „król żelazny“, jak go nazywano, bardziej przewidujący i ostrożny, uśmiechał się tylko tajemniczo i badał wytrwale swojego młodego towarzysza. Po pewnym czasie opinia jego ustalona została. Mógł liczyć na Henryka de Kermor, gdyż poznał w nim człowieka wielkiej wiedzy i silnego charakteru.

Przed zaangażowaniem się w tę podróż rozpatrzył on sumiennie plan cały. Wyłożył Amerykaninowi jasno i dobitnie zamiary swoje wszystkie, dotyczące się kolonizacyi. Przedsięwzięcie to było bardzo kosztowne, ale rezultaty pokryły mogły wszelkie ryzyko. Trzeba było przede wszystkim poznać dokładnie ludność tubylczą i zjednać ją sobie, następnie założyć linie kolei francuskiej, zamiast być zależnym od linii belgijskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).